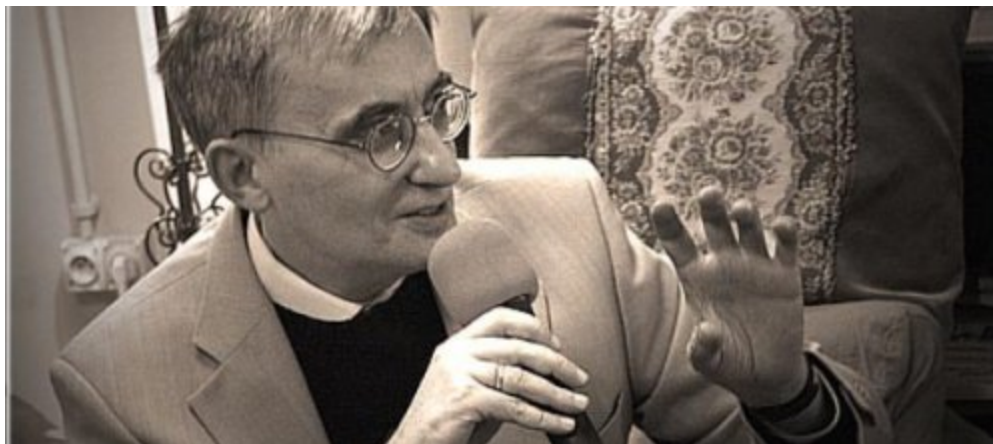


Laudacja Tomasza Merty

Tomasz Merta nigdy nie zapominał, że powinnością polskiego konserwatyzmu jest konserwowanie tego, co polskie



(na fot. prof. J. Bartyzel)

Tomasz Merta nigdy nie zapominał, że powinnością polskiego konserwatyzmu jest konserwowanie tego, co polskie

Laudacja wygłoszona 11.11.2012 z okazji przyznania pośmiertnie Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza śp. Tomaszowi Mercie

Słuszną i chwalebną jest rzeczą zbierać perły myśli rozsiane przez tych, którzy nie zdążyli sami ich złączyć i dopiąć w kolię traktatu. Takim zbiorem pereł, z pieczołowitą troską zebranych i opublikowanych przez „Teologię Polityczną” są pisma wybrane śp. Tomasza Merty, eseisty, publicyisty i działacza państwowego, jednej z 96 ofiar tragicznej katastrofy smoleńskiej, zatytułowane *Nieodzowność konserwatyzmu*.

Skoro tak mocno wyakcentowana została „nieodzowność” konserwatyzmu – jest to zresztą tytuł jednego z najważniejszych esejów autora, poniekąd rodzaj jego ideowego credo – to musimy zapytać nie tylko o to, dlaczego konserwatyzm jest „nieodzowny”, ale również i naprzód czym konserwatyzm jest dla tego myśliciela i publicyisty? Mając bowiem na uwadze już choćby tylko oficjalną metrykę narodzin konserwatyzmu jako samoświadomej postawy i filozofii politycznej, wypracowanej jako odpowiedź na „schizmę bytu” dokonaną przez Rewolucję, musimy dostrzec także wewnętrzne zróżnicowanie, świadczące również o bogactwie tego nurtu i tego rodzaju namysłu nad rzeczywistością, jaki był i jest nadal podejmowany przez konserwatystów. Lektura książki Tomasza Merty nie pozostawia cienia wątpliwości co do tego, iż głównym źródłem jego inspiracji, krynicą, z której zaczerpnął najwięcej ożywczych myśli była anglosaska tradycja konserwatyzmu: brytyjskiego i amerykańskiego. Jest tu oczywiście sam „ojciec” tej odmiany konserwatyzmu – Edmund Burke oraz współczesny kontynuator angielskiego sceptycyzmu względem racjonalistycznych konstrukcji ideologicznych – Michael Oakeshott; są konserwatywni „ojcowie założyciele” arystokratycznej republiki: John Adams czy Alexander Hamilton, dżentelmeni z wiejskiego Południa – John Randolph of Roanoke i John C. Calhoun oraz ich „późny wnuk” – Richard Weaver; są (jakże odmienni od stereotypowego wyobrażenia o amerykańskim konserwatyzmie bałwochwalców dolara)

pesymistyczni konserwatyści z przełomu XIX i XX wieku: Henry Adams, Irving Babbitt czy George Santayana, jak również „urodzony w niewłaściwym kraju” właściciel „nieoświeczonej głowy na gotyckim karku” – Russell A. Kirk. Jeśli nawet do tego wyróżnionego grona obdarzanego szczególną atencją trafi jakiś Europejczyk „kontynentalny”, to będzie nim właśnie ten, który ze szczególną wnikliwością zbadał naturę nowego, demokratycznego społeczeństwa powstającego w Ameryce i przewidział wszystkie wynikające z tego zagrożenia i problemy, czyli oczywiście Alexis de Tocqueville. Zasadnicza odpowiedź na pytanie dlaczego właśnie ten nurt konserwatyzmu wydaje się „nieodzowny”, znajduje się w eseju poświęconym Burke’owi; tą kardynalną cnotą polityki preferowanej przez konserwatystów jest *phronesis* – *prudentia* – roztropność. W słowach, które chcę tu przywołać, dostrzegam nie tylko rekonstruującą rekapitulację Burke’owskiego stylu myślenia, ale również – jestem tego pewien – fundamentalną polityczną maksymę samego śp. Tomasza Merty, także jako konserwatywnego „państwowca” *in actu*, ministra kreującego politykę, zwłaszcza historyczną i kulturalną, godną wracającego do swojej tożsamości, dumnego narodu: *Główną ideą Burke’a jest harmonia. Dostrzega ją w naturalnie ukształtowanym w ciągu wieków porządku świata (bo przecież Opatrzność działa – choć raczej za pomocą naturalnych niż ponadnaturalnych środków), w relacjach między człowiekiem a światem, między rządzącymi a rządzonymi, w nierozzerwalnym związku między interesami prywatnymi a publicznymi interesami, w więzi łączącej następujące po sobie pokolenia, w strukturze społecznej. Jego filozofia polityczna jest równocześnie postulatem i opisem. Nie może być zresztą inaczej: teoria ma dla niego sens tylko w powiązaniu z praktyką, rozum musi nieustannie odwoływać się do doświadczenia, od empirii wychodzić i do niej powracać (Roztropność Edmunda Burke’a, w: Nieodzowność konserwatyzmu, s. 59).*

Ten konserwatyzm, który umiłował Tomasz Merta oznacza również rehabilitację arystokratyzmu, wyklętego przez demokratyczną mentalność – przypomnijmy, iż za cechę dystynktywną demokratycznej epoki „buntu mas” José Ortega y Gasset uważał *odio a los mejores* („nienawiść do lepszych”). Wprawdzie, *Odbudowanie społeczeństwa arystokratycznego wydaje się (...) niemożliwe, a ideał arystokratyczny posiada czas przeszły dokonany i przyszły niedokonany, lecz brak mu czasu teraźniejszego (Nic nie może stworzyć szlachcica, w: tamże, s. 89)*, to jednak niewzruszony pozostaje Arystotelesowski nakaz obowiązku samodoskonalenia się tej *arystokracji z natury*, która poświęcając się kontemplacji, *bíos thēorētikós*, wpływać winna swoim przykładem na tych, którzy podejmują się działania politycznego.

Tomasz Merta dostrzegł także paradoks towarzyszący konserwatyzmowi od samego początku, gdy tylko wyartykuował się on jako odpowiedź na wspomnianą schizmę bytu – ten, iż w niekonserwatywnym świecie konserwatysta nie może po prostu kontentować się prostym odruchem zachowawczym w stosunku do zastanej rzeczywistości, bo to prowadziłoby właśnie do akceptacji zła rozprzestrzeniającego się z siłą śmiertelności wirusa; prawdziwy konserwatysta musi zatem być poniekąd „buntowniczym” rewolucjonistą, acz z innych niż rewolucjonista powodów: *Bunt rewolucjonisty jest otwartym zanegowaniem zastanego świata. Bunt konserwatysty jest z pewnością bardziej umiarkowany (może nie w języku, ale z pewnością w podejmowanych działaniach), ale i on wyrasta z poczucia niezadowolenia, tyle że w jego przypadku niezadowolenie to jest skutkiem braku akceptacji zmian, jakie w świecie się dokonują (Konserwatywny sen o potędze, w: tamże, s. 574).*

Jakkolwiek rozległe i dogłębnie przeanalizowane byłyby inspiracje z obszaru klasyki i współczesności konserwatyzmu powszechnego, Tomasz Merta nigdy nie zapominał, że powinnością polskiego konserwatyzmu jest konserwowanie tego, co polskie właśnie i zreflektowane na „odpomnienie” raczej zasypanych fundamentów i źródeł, z których można by dopiero wyprowadzić nić wiodącą w przyszłość i odpowiadającą wymogom *patriotyzmu jutra*, aniżeli na prostą kontynuację, a zwłaszcza zachowywanie tego, co zastane. Wiedział bowiem dobrze, iż *konserwatyzm w III Rzeczypospolitej ma spore kłopoty ze swoją tożsamością*, trudność ta wszelako nie usprawiedliwia małodusznej rezygnacji, prowadzącej do nieuprawnionego wniosku, *izby należało z tego wyciągać radykalny wniosek na temat jego nieistnienia (Nieodzowność konserwatyzmu, w: tamże, s. 73)*. Skoro jednak współczesny konserwatysta polski nie może afirmować rzeczywistości zastanej – to bowiem prowadziłyby do niedorzecznego (acz niekiedy formułowanego, i to nie bez pewnej finezji) wniosku, iż w III Rzeczypospolitej Edmund Burke zapisałby się do SLD – to pojawia się pytanie, jak i gdzie, w jakiej tradycji odnaleźć ów życiodajny, swoiście *polski idiom* konserwatyzmu?

Odpowiedź Tomasza Mertę na ten fundamentalny problemat jest wyjątkowo wprost klarowna i konsekwentna; ów *polski idiom*, ducha dziejów Polski wiecznej stanowi tradycja republikańska. Nie chodzi tu oczywiście o wykoślawiony nienawiścią do monarchii, jako rzekomej tyranii, i zainfekowany demokratyczną zawiścią, pseudorepublikanizm, wymyślony przez nowożytnych rewolucjonistów. Republika – przypomina Merta (powołując również swoich ulubionych myślicieli, jak John Adams – ani nie musi być demokratyczna, ani nie jest sprzeczna z arystokracją i monarchią. Chodzi tu o klasyczny, zrodzony w Grecji i Rzymie sens *politei* – republiki, będący zarówno ideą

filozoficzną, jak realnym bytem politycznym, w którego ramach egzystuje wspólnota – *koinonia, civitas* – i który, aby zasługiwał na tę nazwę, musi, niezależnie od formy ustrojowej, spełniać dwa warunki: *ma być „rzeczą publiczną”, sprawą wszystkich (lecz owa „sprawa” nie musi przecież oznaczać udziału ludu w rządzeniu); rząd zaś powinien dążyć do realizacji nie interesów tej czy innej grupy lub klasy społecznej, lecz dobra publicznego.* Wiąże się więc z tym także przekonanie *o trwałym związku sfery polityki i moralności i o koniecznym charakterze etycznych funkcji wspólnoty politycznej. Dobre państwo wymaga dobrych obywateli, dlatego sprawa cnoty obywatelskiej jest sprawą zasadniczej wagi. Wspólne prawo, zabezpieczenie przed wzajemnymi krzywdami i ochrona wymiany handlowej to za mało, by mówić o republice* – z tego zatem, Arystotelesowskiego, punktu widzenia – *nowożytnie roszczenia do tego terminu okazują się w zdecydowanej większości nieuprawnione (Kryzys republiki?, w: tamże, s. 37-39).* Płynie z tego wniosek, iż *potrzeba republikańskiej wiary w styczość dobra wspólnego i dobra jednostki, potrzeba wreszcie republikańskich cnót. Taki republikański konserwatyzm – bo jednak konserwatyzm, skoro nie traktuje demokratycznych procedur jako wystarczających do zbudowania dobrego państwa i stara się o zachowanie aksjologicznej ciągłości – nie stanowi w Polsce absolutnej nowości (...), nigdy jeszcze jednak nie był do tego stopnia niezbędny (Nieodzowność konserwatyzmu, w: tamże, s. 84).* Wyposażony w tak po wielokroć sprawdzone i precyzyjne narzędzie identyfikacji rdzennej polskiej tradycji Merta demonstruje umiejętność odczytania głębszego i znacznie bardziej wartościowego, niż na przykład romantyczne mistyfikacje, sensu takich kluczowych zdarzeń z naszej historii, jak choćby Konfederacja Barska. *Nade wszystko – powiada – należy zwrócić uwagę na błąd kryjący się już w romantycznym założeniu – konfederaci nie rozpoczynają wcale walki jako stracenci szukający pięknej klęski. Konfederacja jest nade wszystko ruchem politycznym, który z pomocą politycznych i*

militarnych środków chce zrealizować swoje cele i niemal do końca wierzy w szansę ich urzeczywistnienia. Walczy o zwycięstwo tu i teraz (i wierzy w to, że jest ono możliwe), a nie o zwycięstwo w wypełniających się w przyszłości zmaganiach duchów. (...) dostrzec można coś zgoła innego – nie zerwanie ciągłości z tradycjami politycznymi I Rzeczypospolitej, ale właśnie odnowienie XVI- i XVII-wiecznego republikanizmu. Ten republikanizm – zdawać by się mogło zdruzgotany ostatecznie w czasach saskich – trwał jednak w uśpieniu, by przebudzić się w Barze. Okazało się bowiem, że na trwałe naznaczył on polski sposób przeżywania tego, co polityczne, tak że nowa, tragiczna sytuacja również musiała być zinterpretowana w języku tradycyjnego republikanizmu (Konfederacja Barska – odnowienie polskiego republikanizmu, w: tamże, 218-220).

Pod prąd zastarzałych nawyków myślowych – i to przeciwstawnych sobie – Tomasz Merta potrafił iść także na przykład w tak roznamiętniającej kwestii, jak antykomunizm. Zauważał, iż *przede wszystkim (...) musimy mieć świadomość, że od antykomunizmu z samej natury rzeczy nie należy zbyt wiele oczekiwać. W odróżnieniu od komunizmu, stanowiącego realną i spójną propozycję ideologiczną, antykomunizm zawsze pozostawał jedynie płynną substancją, która może przyoblekać się w bardzo różne kształty. Określenie kogoś jako komunisty było informacją, na podstawie której można było zrekonstruować jego poglądy i cele. Nazwanie kogoś antykomunistą także wiele mówi, ale niewiele wniosków dane jest nam z tego określenia wyciągnąć. Co więcej, u większości antykomunistów sprzeciw wobec komunizmu jedynie uzupełniał i dopełniał ich zasadnicze poglądy. Gdyby komunizm któregoś dnia zniknął i rozróżnienie komunizm-antykomunizm utraciło wszelki sens, nie obudziliby się jako ludzie bez politycznych wizji i mocnych przekonań. Marian Zdziechowski pozostałby kulturowym pesymistą, Adolf*

Bocheński – politycznym realistą, Józef Mackiewicz – konserwatywnym liberałem, a Adam Ciołkosz – socjalistą (Jałowy antykomunizm, s. 304). Wprowadzając tedy dystynkcję pomiędzy antykomunizmem *jałowym* a *roztropnym*, wartość tego drugiego uzależniał od wypełnienia przezeń trzech zadań, których wspólnym mianownikiem jest to, że sytuują się one raczej w sferze metapolitycznej, aniżeli praktyczno-politycznej. Po pierwsze, ów roztropany antykomunizm *powinien starać się opisać i zrozumieć fenomen komunizmu, zarówno w jego teoretycznym kształcie, jak i historycznych realizacjach.* Po drugie, jego zadaniem byłaby likwidacja skutków komunizmu zwłaszcza na polu bitwy o pamięć Polaków. Po trzecie winno to być *dążenie do ustanowienia antykomunizmu jako warunku brzegowego polskiej polityki (Anty-antykomunizm, czyli antykomunizm roztropany, w: tamże, s. 321-323),* ale właśnie to zadanie możliwe będzie do spełnienia jedynie dzięki pewnemu wyciszeniu politycznej retoryki antykomunistycznej względem konkretnych ugrupowań czy nawet grup społecznych będących ich zapleczem, po to by uzyskać autentycznie szerokie uznanie społeczne dla ostatecznej moralno-politycznej dyskwalifikacji komunizmu.

Z całego wielopłaszczyznowego obszaru namysłu śp. Tomasza Merty nad sensem i zadaniami realnego polskiego konserwatyzmu naszych czasów chciałbym na koniec wyłuskać i wyakcentować tę przestrożę, która – mimo iż sformułowana kilkanaście lat temu, a o jej ówczesnych, bezpośrednich adresatach, owych efemerycznych stronnictw i partyjek nadużywających dla doraźnych gier szlachetnego miana „konserwatywnych” – zachowuje niesłabnącą aktualność. *Najgorszą rzeczą – przestrzegał – jaka mogłaby się przydarzyć polskiemu konserwatyzmowi, to ześlizgnięcie się w tani wolnorynkowy pragmatyzm. Konserwatysty nie powinni godzić się na traktowanie polityki jako turnieju politycznego cynizmu, w którym idzie tylko o*

zdobycie i utrzymanie władzy i realizację partykularnych interesów. Z najwyższym też tylko trudem mogą ująć za entuzjastów wolnego rynku – wypada pamiętać, że konserwatyzm narodził się jako protest feudalnego świata wobec triumfującego kapitalizmu i że konserwatywna koncepcja własności bardzo różni się od liberalnej. Nawet przecież uchodzący za wyjątkowo liberalnego w sferze ekonomicznej Edmund Burke zdawał sobie sprawę z zachodzącej zmiany, trudno jednak powiedzieć, by przesadnie się z tego powodu radował, kiedy pisał: „czasy rycerstwa przeminęły. Nastały czasy sofistów, ekonomistów i kalkulatorów, a chwała Europy zgasła na zawsze” (Konserwatywny sen o potędze, w: tamże, 575).

W jednym ze swoich tekstów Tomasz Merta napisał o Józefie Mackiewiczu: był *patronem niezależnego, suwerennego myślenia. Człowiekiem nieuznającym rzeczy, o których „nie trzeba głośno mówić” (Żyj i pozwól żyć, w: tamże, s. 291). Niechaj ten przyznany dziś pośmiertnie laur im. Mackiewicza będzie larą i penatą, czuwającymi nad naszą pamięcią o tym, który też myślał niezależnie i suwerennie.*

Jacek Bartyzel

Przeczytaj też:

Tomasz Merta, patriotyzm jutra

Tomasz Stefanek, Wybraniec Phronesis w służbie Rzeczypospolitej

Filip Memches, Tomasz Merta i konserwatyzm dla mas

Jakub Lubelski, Test wspólnej kawy